Rok 1900. Lwów, 2. grudnia. Nr. 60.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Treść Nr. 60:

LXX. rocznica.

Po raz siedmdziesiąty obchodził w d. 29 b. m. naród polski najwybitniejszych w dziejach porozbiorowych datę wybuchu walki orężnej z caratem... Z uczestników tej kompanii, ledwo maleńka garstka pozostała jeszcze przy życiu — reszta odeszła w lepsze światy, aby u stopni Tronu Bożego wznieść modły za nieszczęsną Ojczyznę, dla której wolność i krew swoją przelewali. Gdy przebywali jeszcze tu, pomiędzy nami, niby żywe pomniki świętej miłości Ojczyzny, zdawało się ich synom i wnukom, że to nie pasmo długie dziesiątków lat przedziela naród od tych zapasów bohaterskich, że Grochów, Ostrołęka, Iganie, Wielkie Dęby, rozbrzmiewają jeszcze niedawną wrzawą wojenną, a zielona ruń wrogów na tych polach, świeżo dopiero trawą porosła. I rozgrzewały się nam serca na widok mężów, którym Opatrzność pozwoliła chrzest krwi odebrać, życie i mienie nieść Ojczyźnie w ofierze i otaczając te piękne postacie szacunkiem i przywiązaniem synowskiem, czerpaliśmy w ich opowieściach — jak w nieprzebranym zdroju wód kryształowych — wątek do marzeń cudnych o wielkich, krwawych zapasach, któreby nam Ojczyznę, wolność powróciły... Po latach zaczęły te szlachetne dusze porzucać kruchą, ziemską powłokę, odpływały jedna po drugiej, z tej ziemi nieszczęść i cierpień narodowych, przepojonej łzami wdów i sierót, krwią bohaterów i męczenników. Nie uniosły jednak ze sobą pamięci o ich wielkich czynach i poświęceniu bezgranicznem dla sprawy niepodległości narodu, lecz rzuciły w serce i umysły pokoleń następnych posiew obfity tych cnót słonecznych, które po najsroższych klęskach nie dozwoliłyby nam zmarnieć, znikczemnieć w niewoli! Po każdej też walce z orężem w ręce, choć Polska przeszyta mieczami, padała w toń krwi, z piersi jej najlepszych synów wytoczonej, choć sam — zda się — Lucyfer uczył ciemiężycieli zadawania pokonanemu narodowi nowych mąk, nowych katuszy, to jednak we wspomnieniach właśnie tych walk nieszczęsnych, szukał ogół nasz zapomnienia o twardej, czarnej rzeczywistości swojej, one były jakby cudowną dryakwią na otwarte rany, one dodawały sił w upadku, odganiały rozpacz, poiły nadzieją.

Dowodem tego najlepszym, że właśnie po kampanii listopadowej rozpoczęła się najwspanialsza epoka naszej literatury, rozbrzmiała potężną nutą pieśń nieśmiertelna książąt naszej prawdy. Tak samo pod wpływem, zdaje się, tych walk rozpaczliwych, powstał nieprzeliczony rój pieśni patryotycznych, które z homerowską nieraz prostotą opiewają epizody bohaterskie i sławią imiona wybitnych żołnierskich postaci naszych. Trzy już — rzec można — pokolenia narodu polskiego niańczą one, wlewając w duszę dziecka czar melodyi polskiej, prostej i niewyszukanej, a raz junaczo dziarskiej, to znów rzewnej i zadumanej, jak płaczące brzozy na cmentarzach wiejskich — i uczą kochać Ojczyznę, wielbić przyszłość i jej bohaterów. Faktem jest, że cudów waleczności dokazywały nieraz te skromne piosnki w czasach powstania styczniowego! Były czasy, kiedy rozbrzmiewały niemi zarówno salony bogaczy, jak skromne domostwa ich oficyalistów, zarówno w pokojach, jak izbach czeladnych — a wszędzie rozniecały w piersiach słuchaczy płomień uczuć patryotycznych, pobudzały krew do szybkiego krążenia, skłaniały prostacze nieraz dusze do zachwytu dla walczącej o wolność braci. Nic bardziej nie spełniało misyi agitatorskiej na rzecz sprawy narodowej, jak właśnie może te bezprotensyonalne, nieraz rymem „częstochowskim" wybredne ucho rażące, zwrotki naszych pieśni obozowych i powstańczych, które wszystkie były bądź na tle kampanii listopadowej i jej bohaterów, bądź pod wrażeniem tychże stwarzane. W ten sposób walki nasze z r. 1830-31, choć pogrążyły Ojczyznę w morzu nieszczęść i katuszy, równocześnie jednak pokrzepiły ducha narodowego na długie dziesiątki lat, zapłodziły fantazyę narodu, są jakby wspaniałą epopeją, która przez szereg wieków poi i karmi serca pokoleń niezliczonych.

Oto nieraz nie nagrodzona wartość i znaczenie tej rocznicy listopadowej dla nas w niewoli i dlatego od krańca do krańca całej Polski obchodzimy ją wszyscy z takim pietyzmem, rzec można, z nabożeństwem religijnem.

Ester.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ziemie polskie.

Wypadkiem najważniejszym ubiegłego tygodnia jest niespodziana śmierć generał-gubernatora warszawskiego, księcia Imerytyńskiego. W nocy z piątku na sobotę, skutkiem nagłego udaru sercowego — jak głoszą urzędowe telegramy — zakończył nagle życie — książe generał-gubernator, którego przyjazd do Warszawy witano przed paru laty jako zapowiedź przychylnej dla Polaków polityki. Dziś oto schodzi z areny politycznej ten książę nie ziściwszy pokładanych w nim nadziei, powróciwszy niemal do systemu rządów Hurkowskich.

Niepodobna dziś ocenić całej doniosłości tego faktu. Stanowisko generał-gubernatora warszawskiego jest jednem z najważniejszych, jakie rząd rosyjski ma do obsadzenia. O wyborze osobistości mających zająć to stanowisko decydują nietylko względy wewnętrzno-polityczne i ukształtowanie się stosunków polsko-rosyjskich, ale nadto i względy polityki zewnętrznej, ponieważ na wypadek jakichkolwiek politycznych w Europie, generał-gubernator warszawski ma w swem ręku nici organizacyi wojskowej, terenu, na którym odgrywaćby się musiała przypuszczalna wojna z zachodnim sąsiadem Rosyi. Te względy otóż skłaniają do przypuszczeń, które już w formie pogłoski kursują po Warszawie, że następcą Imeretynskiego będzie znakomity statysta wojskowy i polityk generał Dragomirow, jeden z najpoważniejszych filarów aliansu francusko-rosyjskiego.

Powtarzamy tę pogłoskę z wszelką rezerwą, nadmieniając, że Dragomirow kilkakrotnie w swych mowach politycznych potrącał o kwestyę polską i przeciwny był takiemu jej postawieniu, jakiego wyrazem był Hurko lub Imeretyński. Okoliczność ta świadczyłaby tylko, że w pogłosce o kandydaturze Dragomirowa jest duża doza desyderatów.

Zresztą choroba cara, niedawna śmierć Murawiewa, kanclerza państwa, powikłania w Chinach — wszystko to nadaje śmierci Imeretyńskiego cechę wybitnego faktu politycznego, który zaważyć może poważnie na losach polityki zagranicznej i wewnętrznej Rosyi.

Fatalność chciała, że ks. Imeretyński skonał nagłą śmiercią w niespełna 24 godzin po wydaniu rozkazu powieszenia pięciu socyalistów, którzy zamordowali szpiega rosyjskiego w Częstochowie.

Kraj petersburski zamieszcza w dosłownym przekładzie tekst nowego programu nauki języka polskiego w średnich zakładach naukowych w okręgu warszawskim. Program jest tymczasowy i zatwierdzony na lat trzy, poczynając od roku szkolnego 1900/1901. Program, wykazujący wiele braków, obejmuje naukę języka i bardzo niedostateczną naukę literatury (do Kraszewskiego). Liczba godzin języka polskiego została ustanowioną w klasie pierwszej na 3, w dalszych klasach po 2 na tydzień.

Poznańskie pisma donoszą o rewizyach, które odbywają się w różnych miejscowościach Wielkopolski u uczniów gimnazyalnych, akademików i byłych akademików. Podobno gdzieś trafiono nawet na ślad zespoleń uczniów, w celu uczenia się historyi polskiej i literatury... Okropna zbrodnia! Ale dzienniki hakatystyczne kują z niej materyał polityczny. Tak np. *Tägl. Rund.* donosi, że w Śremie odkryto ślad tajnego stowarzyszenia gimnazyastów polskich o „dążnościach politycznych, narodowo-polskich“ i zapewnia, iż zarówno członkowie tego związku, jak i duchowi ich kierownicy nie ujdą kary.

Gdyby w szkole uczono historyi polskiej i literatury, nie potrzebowaliby uczniowie uczyć się jej pokątnie.

Wybory w okręgu babinojsko międzyrzeckim, gdzie ze strony Polaków kandydował p. B. Chrzanowski, skończyły się porażką naszą, a to wskutek tego, że niemieccy katolicy złamali umowę wyborczą, zawartą z Polakami.

W Krakowie w ubiegłym tygodniu wykonano zamach zbrodniczy, mający wszelkie pozory zamachu anarchistycznego. Ofiarą jest starosta podgórski hr. Edward Starzeński.

Hr. Starzeński wyszedł we wtorek wieczorem z resursy krakowskiej i pojechał na Podgórze do domu. Tam ujrzał mężczyznę średniego wzrostu z czarnemi okularami, który przyskoczywszy do niego, wyciągnął z kieszeni rewolwer, wymierzył i wypalił. Kula drasnęła lewe ucho hrabiego a strzał był tak bliskim, że ogień i proch z rewolweru osmoliły mu pół twarzy. W tej samej chwili hrabia odpowiedział ze swego rewolweru. Lecz „anarchista“ błyskawicznym ruchem rzucił się na hrabiego z podniesionym sztyletem i pchnął go z taką siłą w piersi, że hrabia, choć silny mężczyzna, padł na wznak, jakby piorunem rażony.

Zbrodniarz zniknął w ciemnościach. Na huk strzałów zbiegli się ludzie i podnieśli hrabiego. Pokazało się, że sztylet przebił grube futro i ubranie, uderzył o srebrną papierośnicę w kieszeni i ześliznął się po niej, raniąc lekko lewą klatkę piersiową. Cios był tak silny, że papierośnica z grubego srebra jest cała wygięta. Przypadek, że znajdowała się ona nad samem sercem, uratował życie hrabiemu.

W nocy znaleziono w ogrodzie sztylet owinięty w numer socyalistycznego „Naprzodu“. Prócz tego pieniądze austryackie i włoskie.

Zbrodniarz uciekł przez parkan ku Wiśle, na puste pola.

Podejrzenia na razie skierowane są na robotnika Szczypkę, który przybył niedawno z kopalni węglowych w Morawskiej Ostrawie. Aresztowano go we wsi Wrząsowicach pod Krakowem. Szczypka spał. Znaleziono przy nim rewolwer i paczki pism socylistycznych. W rewolwerze kula jedna była spiłowana. Jeden nabój był wystrzelony. Dalsze badania są w toku.

Choroba cesarza rosyjskiego.

Monarcha, który rządzi absolutnie 130 milionami ludzi, którego państwo obejmuje przestrzeń olbrzymią dwudziestu kilku milionów kilometrów kwadratowych, który w oczach ogromnej większości swoich poddanych uchodzi prawie za pół boga — monarcha ten, car Mikołaj Aleksandrowicz, rozchorował się, jak najzwyklejszy śmiertelnik, na tyfus brzuszny w prześlicznej Liwadyi, położonej na południowym brzegu półwyspu Krymskiego. Wobec uroku, otaczającego osobę carską w oczach rdzennie rosyjskiego ludu i wobec tajemniczych, lub tragicznych okoliczności, jakie towarzyszyły śmierci wszystkich jego przodków, od Piotra W. począwszy, nic dziwnego, że i tym razem, wyobraźnia ludu nie zadowoliła się naturalnem wytłumaczeniem powodów choroby cara, lecz przypisuje ją otruciu, dokonanemu przez kamaryllę dworską.

Jak dotąd, niema wcale dowodów, któreby popierały takie przypuszczenie. Jednakże brak dokładnych szczegółów, poza urzędowemi biuletynami, o przebiegu choroby cara Mikołaja, przyczynia się do wzbudzenia pewnego niepokoju wśród opinii publicznej, chętnie domyślającej się czegoś więcej ponadto, co do jej wiadomości podają źródła oficyalne.

Najbardziej rozpowszechnioną jest wersya, zakomunikowana „Dziennikowi Polskiemu, iż truciznę podano carowi w rosole. Na tydzień przed zasłabnięciem cara — powiadają — przyjęto nowego kucharza. Marszałek dworu przyjąć go nie chciał, jakby przeczuciem jakiemś złem wiedziony, lecz zaprotegowała go sama carowa-wdowa, poprostu nakazała, aby go przyjąć, więc marszałek musiał ustąpić. Zważano jednak pilnie na palce. na nowego przybysza, patrzano mu na palce. Mimoto w ostatnią niedzielę (przed zasłabnięciem cara), trucizna dostała się do rosołu... Marszałek, przed podaniem talerza carowi, sam skosztował zupy; wydała mu się niezwykle silną, lecz dobrą. Car tymczasem, spożywszy trochę tylko tej zupy, odłożył łyżkę, mówiąc, że rosół ma smak jakiś dziwny... Inni, przy stole będący, mieli czas pokosztować zaledwie tego rosołu i to ich uratowało. Uczyniła się zaraz konsternacya; przywołano przybocznego lekarza, a ten zbadawszy rosół, odkrył w nim truciznę... Rzucono się do kuchni, gdyż podejrzenie padło natychmiast na nowego kucharza, lecz ten zniknął tymczasem i przepadł bez wieści, zostawiając wszakże przez zapomnienie swój surdut, w którego kieszeni znaleziono gruby pugilares, a w nim 10.000 rubli w samych nowiutkich banknotach... Zakrząknięto się koło ratunku cara i tej spiesznej pomocy, jakoteż okoliczności, że bardzo mało spożył on zatrutego rosołu, zawdzięczać należy, iż skończyło się tylko na długotrwałej chorobie.

Kongres w Europie.

Były prezydent republiki transwalskiej, której niezależność polityczną Anglia już oficyalnie skasowała, przybył w tych dniach do Francyi, entuzyastycznie witany przez sfery polityczne, wrogo usposobione dla Anglików i ich zaborczych planów. Krüger wizytował w Paryżu Loubeta i był przyjmowany przez niego z odpowiednimi honorami.

Dzienniki brukselskie donoszą, że cesarz Wilhelm na telegraficzną prośbę królowej holenderskiej Wilhelminy, zgodził się przyjąć na audyencyi Krügera. Na audyencyi tej Krüger prosić będzie cesarza niemieckiego o wzięcie inicyatywy w zwołaniu międzynarodowego sądu rozjemczego. Z tą samą prośbą zwróci się Krüger telegraficznie do cara. Gdyby obaj odmówili, weźmie inicyatywę w tej sprawie Holandya, przyczem Krüger liczy na poparcie Francyi, Austryo-Węgier, Rosyi i Niemiec.

Na pierwszą wieść o możliwości przybycia Krügera do Berlina, zawiązały się tam komitety boerskie, aby zgotować owacyjne przyjęcie.

Powikłania na Wschodzie.

Choroba cara, powodująca tak daleko idący zastój w sprawach polityki zagranicznej, że aż projektowano ustanowienie rejencyi, niemało się przyczyniła do zaostrzenia powikłań na dalekim Wschodzie, gdzie na gruncie chińskim, oko w oko stają przeciw sobie groźni konkurenci Rosya i Anglia.

Times dowiaduje się, że rząd rossyjski cofnął swoją uchwałę co do oddania kolei Shauhal kwan i powiadomił gabinet londyński, że sprawa zwrotu kolei tej zależy od zapłacenia wydatków, jakie powstały podczas okupacyi. Wiadomo zaś, że Rossyanie nic nie uczynili dla rzeczonej kolei, zresztą, gdyby pretensye ich były uprawnione, to powinny być stawione na rachunek międzynarodowej armii i załatwione w związku z ogólną sprawą odszkodowania. Żądanie rossyjskie — pisze *Times* — jest niesłychane i bezpodstawne, a należy je ostrożnie i z zimną krwią traktować, gdyż łatwo doprowadzić może do poważnego sporu angielsko-rossyjskiego.

Wierusz Kowalski.



HUCUŁ NA POLOWANIU.

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Kwestya kobieca na wystawie paryskiej.

(Z wrażeń osobistych).

(Dokończenie).

Warto rzucić okiem w pałacu francuskiego przemysłu na dział doprowadzony, jak się zdaje, do najwyższych granic artyzmu i doskonałości, dział par excellence kobiety: biżuterye. Pominęmy gablotki, w których wystawiono olbrzymie brylanty, dyamenty z szafirów, rubinów, szmaragdów, gdzie wielkość, blask i oprawa kamieni drogich, azatem głównie ich cena przykuwają do siebie spojrzenia pożądliwe. Chodzi koło nich nieustanna warta, a to przypomnienie prawa prywatnej własności przygnębiająco wpływa na zachwyt artystyczny, bo przecież wrażenia piękna, to zwykle wrażenia darme i wszystkim dostępne. Obok przecież, nie strzeżone przez wartę, znajdują się cudowne wyroby złotniczej sztuki, gdzie nie ilość złota, ani liczba drogich kamieni i rzadkość ich, ale umiejętność ludzka, artyzm i gust, które się na ich wytworzenie złożyły, podziwiać należy. Te ptaki, kwiaty, motyle i wszelakie arabeski lśniące najdelikatniejszemi kolorami, mieniące się w słońcu, lekkie, subtelne, urocze, jak szyje i czoła, które mają ozdabiać, pełne wyrazu, jak te nerwowe paluszki, na których spoczywały te okazy, które sztuka modernistyczna śmiało postawić by mogła obok ozdób bronzowych z epoki renesansu. Nie wystawiła ich żadna firma, ale przysłały damy wielkiego świata z różnych krajów od głów koronowanych, aż do małżonki socyalistycznego ministra. Nie dziwmy się: kobieta wszelkich sfer i obozów politycznych, musi być dziś po trochu tem, co zrobiła z niej cywilizacya nasza i moralność, azatem ciałkiem, które się stroi. Przedziwna robota tych klejnotów okupuje i przebaczyć pozwala ich przepych...

Ale cóż dały same kobiety? Wszak mamy Palais de la femme... Spotyka nas tu zawód, to nie wystawa prac kobiecych, pomimo kilku niezłych rzeźb kobiecego dłuta i ładnych obrazków pędzla kobiecego. Pałacyk kobiety to przedsiębiorstwo, w którem najlepiej udała się nazwa, przeznaczone dla odpoczynku, zabawy i mało odwiedzane przez kobiety. Salonik ubrany w dywany i kwiaty, teatr, w którym przedstawienia dziecinne, śpiewackie, baletowe, obrazy żywe odbywają się codzień popołudniu, restauracya, cukiernia, czytelnia, biblioteka, a na dole tanie i liche bibelots, oto wszystko.

Wystawczynie właściwe nie obawiały się sąsiedztwa wytworów męzkiego pomysłu, a liczba ich w różnych pawilonach jest wcale pokaźną. Ze szczegółowego wykazu, zestawionego przez wychodzący w Paryżu kobiecy dziennik *La Fronde*, wyjmuję parę faktów. W mechanice ogólnej Francya daje cztery wystawczynie, Belgia jedną. W dziale elektrycznym spotykamy trzy Francuzki, a w elektrochemii jedną Dunkę. Powozy i karety, automobile i rowery wystawiają cztery kobiety, p. Eliza Ordęga wystawia uprząż. W sekcyi angielskiej spotykamy nazwisko Miss Mand Benham, która wystawia parasol teleskopowy, przyczepiany do roweru. Ze Stanów Zjednoczonych są trzy wystawczynie. Dwie produkują model jachtu, trzecia przyrząd do ratowania tonących. Sara Bernhard wystawiła w pałacu przemysłu gablotkę z odlewami brązowemi według własnych wzorów. Dodać należy, że jakkolwiek wielka artystka tylko w wolnych chwilach zajmuje się modelowaniem, odlewy są piękne, jak wszystko, czego dotknie ta fenomenalna kobieta. Fronda przytacza nazwiska kobiet, które otrzymały patenty, jako wynalazczynie za dzieła mechaniki, urządzenia elektryczne, inżynierskie i środki lokomocyi.

W pałacu sztuki spotykamy sporo nazwisk kobiecych. Najliczniej wśród malarzy i rzeźbiarzy swego kraju wystąpiły Francuzki. W rzeźbie prace ich wyróżniają te same zalety, które rzeźbę francuzką stawiają dziś na czele współczesnej sztuki rzeźbiarskiej: ruch i swoboda postaci, nowe pomysły, subtelność i delikatność wykonania. W malarstwie specyalnością kobiet jest miniatura, doprowadzona do takiej doskonałości, że nie ustępuje słynnym miniaturom zeszłego stulecia. Oto spis miniaturzystek, wyjęty z pierwszych kilku stron urzędowego katalogu: Joanna Bahyé, Karolina Baily, Van Bever de la Quintinie, Magdalena Brunet, Adela Burdy, Andrea Cassard Bigot, Reneé Caudron, Mme Cerbeland-Piqelet, Alicya Chatel, Marya Chauchefoin, Cecylia Chausse, Łucya Chéron, Lucyna Clande, Joanna Contal, (akwarele na kości słoniowej), Amelia Conland, Marya Dawid, Małgorzata Delaroche, Henryka Deveand-Fabre, Joanna Devina, Ludwika Ferey i in. Miniatura przechodzi niepodzielnie prawie w ręce kobiet; stając się sposobem korzystnego zużytkowania talentów, a jednocześnie powraca moda miniatur. Cały legion kobiet maluje dziś we Francyi na porcelanie, atłasie, kości słoniowej, rzeźbi kamee, dając dzieła stojące na granicy sztuki stosowanej i doprowadzając je z kolei do wysokiego artyzmu. Wśród obrazów kobiecego pędzla przeważa portret, lub kwiaty nad obrazem rodzajowym, historycznym, lub krajobrazem, a częściej spotyka się pastel, niż obraz olejny.

W salach artystów zagranicznych nazwisk kobiecych mniej. Najliczniej może wystąpiły w malarstwie i rzeźbie w działach rosyjskim, angielskim; w malarstwie Stanów Zjednoczonych. A zatem tam, gdzie w najżywszem tempie idzie ruch kobiecy, tam i w sztuce, najwięcej kobiecych nazwisk. Amerykanki na wzór Francuzek liczne nadesłały miniatury, ale bodaj że Francuzkom pierwszeństwo się tu należy. Z artystek polskich spostrzegam trzy nazwiska: Olga Boznańska nadesłała wystawionych już w Krakowie C h ł o p c ó w, i portret, Stankiewiczówna krajobraz, a Gersonówna rzeźby p. t. Mater Dolorosa.

Dopełnieniem wystawy były kongresy międzynarodowe, których liczba i różnorodność nie dosięgły może nigdy takich rozmiarów, jak podczas ubiegłego półrocza. Jeżeli kultura materyalna współczesnego świata budowała sobie olbrzymie międzynarodowe bazary, zapełniając je najlepszemi z okazów swej wytwórczości, jeżeli sztuki plastyczne: malarstwo, rzeźba i architektura wskazywały na imponujący dorobek ostatnich lat dziesięciu, a zbliżenie różnych ras, narodowości, stref pozwolało turyście, jak gdyby w przekroju, przejrzeć życie całej kuli ziemskiej, to kongresy przeznaczone przedewszystkiem dla specyalistów, słuchaczom przypadkowym, których na żadnym nie brakło, dawały przegląd postępu nauki, lub specyalnego kierunku myśli. Nie chcę tu rozstrzygać, czy takie encyklopedyczne wzbogacenie zakresu wiadomości korzystnie oddziaływa na umysłowość człowieka, czy rozwijając nasz horyzont myślenia, nie zatracamy oryginalności, nie narażamy na zatratę głębokości i jednolitości umysłowej koncepcyi. Może przyszłość uzna kiedyś nasze wystawy i nasze nieustanne obradowanie za czczą, usprawiedliwioną handlarskim i dziennikarskim duchem czasu zabawkę. Dziś dążymy jeszcze pełną siłą pary w kierunku rozpowszechniania wszelkich zdobyczy ducha ludzkiego, prowadzeni przez ekspanzywną siłę nowoczesnego przemysłu, idei demokratycznych i naukowego współdziałania. Kobiety coraz żywszy biorą w tym ruchu udział. Widzieliśmy je na wystawach przemysłu, w pałacu sztuki, a na większości kongresów zjawiały się już nietylko, jako słuchaczki, lecz i w charakterze czynnych uczestniczek. Tak było np. na kongresach filozoficznym i psychologicznym. Na ostatnim rodaczki nasze, panie: dr. Stefanowska i dr. Joteyko — przedstawiły ściśle naukowe referaty. Na kongresie socyologów, większość słuchającej publiczności stanowiły kobiety, nie biorąc udziału w obradach, do których dopuszczają tylko członków instytutu socyologicznego.

W kongresach robotniczych, np. w narodowym, a potem międzynarodowym kongresie syndykatów, zasiadały delegatki obok delegatów. Na kongresie socyalistycznej młodzieży liczba kobiet wyrównywała prawie liczbę męzkich uczestników, na międzynarodowym kongresie socyalistycznym w delegacyi każdej narodowości znajdowały się kobiety. Z trybuny nie schodziła tłomaczka Klara Zetkin, w komisyach pracowały niemniej od „towarzyszy", a każde przemówienie świadczyło o bliskiem zżyciu się z działalnością stronnictw.

Świat kobiecy podąża tedy przyspieszonym krokiem za biegiem dzisiejszej kultury, przystosowując się do niej coraz umiejętniej, a podczas wystawy paryzkiej rozpatrywaną była aż na trzech kongresach, które świadczą o różnorodnych kierunkach, w jakich się dziś ruch kobiecy rozwija.

Adam Krajewski.

Przyczynek do historyi czasów saskich w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Do pana Villiers pisał król pruski już po wkroczeniu w granice Saksonii i właśnie wtedy Anglia pośredniczyła między zwaśnionymi. List ten, datowany z głównej kwatery w Zgorzelcu dnia 1. grudnia 1745, opiewa następująco:

„Mój Panie! Sądzę, że Anglia i cała Europa musi być przekonaną o moich dobrych zamiarach. Gdyby mnie król polski nie był zmusił przez swe nieszczere postępowanie do wkroczenia w jego kraje, (mowa tu o Saksonii) byłbym tego nigdy nie uczynił. Ale pomimo wszelkich korzyści, — jak to widzi cała Europa, — jakie mam względem moich nieprzyjaciół, jestem jednak skłonnym do podpisania pokoju.

Gdy jednakowoż z doświadczenia wiem dobrze, co o sobie mniema dwór drezdeński, nie mogę ani kazać zaprzestać kroków nieprzyjacielskich, ani wojsk swoich z kraju wycofać, dopóki król polski nie będzie trzymać się postanowień konwencyi hanowerskiej. Możesz pan być przekonany, że wiadomości o tem oczekuję z wielką niecierpliwością i według tego, gdy ją tylko otrzymam, zastosuję moje dalsze działanie. Pojmujesz pan, że to, o czem mu piszę, nie może powstrzymać postępów zwycięzkiej armii i że dwór drezdeński zamyśla sobie tylko wygodną furtkę urządzić, zanim się dowie o postanowieniach dworu wiedeńskiego. Gdybym z tej strony widział więcej szczerości a pan w imieniu króla angielskiego zaręczyć mógł za skutek swych usiłowań, byłbym gotów opowiedzieć się za wszelkiemi warunkami pokoju, jakiebyś pan podał, aby między oboma dworami mogło przyjść do pokoju silnego i trwałego.

W tej kwestyi nie żądam od pana niczego więcej, jak tylko wyraźnej i jasnej odpowiedzi, z czegoby król polski mógł poznać, że ja niczego sobie więcej nie życzę, jak tylko utrzymania jego poddanych i przywrócenia napowrót trwałej przyjaźni z moim sąsiadem. Od niego samego zależeć będzie wzmocnienie tej przyjaźni na przyszłość i wyciągnięcie z niej znacznie większych korzyści, niż z tego drugiego sprzymierzeńca.

Proszę pana użyć całego wpływu, a który ja znam, aby układy te można przeprowadzić, a na które król pański zgodzi się z pewnością; przywróci to bowiem spokój w Niemczech i zakończy wojnę między dwoma sąsiadami, która z pewnością dla obu stron równie jest szkodliwą i pożałowania godną.

Zapewniam pana, że los Saksonii zależy od pańskiego działania. Z zapewnieniem szacunku. — *Fryderyk*".

Pomimo tych rozpoczętych układów pokojowych z Augustem, wojna, w której Polska była zupełnie neutralną, wrzała dalej i szło właściwie Fryderykowi nie tyle o jej zakończenie pokojowe, ile bardziej o rozerwanie sojuszu Austryi z Saksonią, aby nie być branym we dwa ognie. Tymczasem nie próżnował i dwór wiedeński, pracując wszelkiemi siłami, aby bądź co bądź przymierze z Saksonią utrzymać.

Cyrkularz z Berlina z daty 4. grudnia tegoż roku do ministerstwa spraw zagranicznych, wydany z rozkazu króla i w jego imieniu, a podpisany przez ministrów von Podewilsa i Borckego, wskazuje na dalsze kroki nieprzyjacielskie, podjęte ze strony armii austryacko-saskiej, mimo układów rozpoczętych z dworem drezdeńskim na podstawie listu z dnia 1. grudnia. Potwierdza to drugi list do pana de Villers, datowany z Bautzen 5. grudnia 1745, gdzie król pruski znowu w tej sprawie pisze, mając już zapewne od pośrednika angielskiego odpowiedź na list pierwszy, w którym nawiązano układy:

„Nie wiem, kto z nas dwu, ja czy Saksonia, będzie panu wdzięczniejszą za przywrócenie spokoju. Szkoda, jaką muszę wyrządzać memu sąsiadowi, dzieje się z największą z mej strony niechęcią. Jestem zmuszony rzeczy doprowadzać do ostateczności; ułatwiam jednak równocześnie królowi polskiemu wszelkiemi rozporządzalnemi środkami, aby się mógł wydobyć z tej matni.

Żeby więc zakończyć nareszcie tę nieszczęśliwą wojnę, potrzeba, aby król polski wygotował bezzwłocznie dla jednego ze swych ministrów, któremu ja równocześnie paszport przyszlę, zupełne pełnomocnictwo.

Posełam rozkaz memu ministrowi dworu, hrabiemu von Podewils, ażeby się do tego jak najrychlej i najściślej zastosował; a skoro tylko układ będzie gotowy i skoro król polski go podpisze, każę natychmiast opuścić jego kraj, jego fortece i zaprzestać kroków nieprzyjacielskich.

Co się tyczy odszkodowania za spalone okolice i wyrządzone szkody, to nie mogą one mieć miejsca tak długo, jak długo król polski nie przyjmie preliminaryów przez moich ministrów ułożonych. Mogę zresztą królowi polskiemu za stratę jego poddanych tyle tylko wynagrodzić, ile mi królowa węgierska (Marya Teresa) wynagrodzi za szkody, zrządzone i zrządzić się jeszcze mogące na Szląsku.

Będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli pan będziesz tu towarzyszył temu saskiemu ministrowi, który do mnie przyjedzie, ale z nieograniczonem pełnomocnietwem swego pana. Sprawi mi to wielką radość, ujrzeć męża, którego tak wysoko cenię i który przejęty jest, jako minister, wielkiemi przymiotami człowieka, który przez zgaszenie pochodni wojny i niezgody, spokój między narodami przywraca.

Mam nadzieję, że niewiele masz pan czasu do stracenia, ażeby się zaopatrzyć w pełnomocnibtwo swego dworu, potrzebnego do gwarancyi ze strony Wielkiej Brytanii i sądzę, że tą samą drogą pójdą i pan Bestuszew i holenderski minister. Uważam ten pokój za podstawę do uspokojenia Nremiec. Królowa węgierska albo zaraz do niego przystąpi, albo nie będzie już długo stawiła oporu.

Dowiedziałem się również z boleścią, że król polski opuścił swą rezydencyę. Jestto obelga, jaką on wyrządził memu sposobowi myślenia. Miałem każdego czasu osobisty dla jego szacunek i mam go zawsze dla niego godności i dla domu, choćby jak największa burza wojenna szalała. Możesz pan zapewnić tego księcia o mej prawości i szczerości; możesz pan powiedzieć, że tylko od niego zależy, ażeby oba dwory na przyszłość w najlepszej żyły przyjaźni. Dla pana zaś pozostaję z pełnym szacunkiem".

Panu de Villiers mimo tego ciężko szła robota; dwór drezdeński postawił bowiem swoje warunki, mianowicie zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich, a co do punktacyi pokojowych zażądał namysłu, zanim przyjdzie odpowiedź z Wiednia. Odnośnie do tej odpowiedzi, pisze Fryderyk do swych posłów zagranicznych w dniu 7. grudnia (a więc już w dwa dni po poprzednim liście do pana Villiers). Skarzy się tam długo i szeroko na nieszczerość dworu saskiego względem niego i mówi między innemi:

„Wiem dobrze, że zdrowsza część ministerstwa (saskiego) nie jest temu winną, iż warunki moje, tak łagodne, nie zostały przyjęte i że wielu z nich nie szczędziło prośb i nalegań, aby je przyjąć. Ale ci źli doradcy, którzy wtrącili Saksonię w to jej teraźniejsze położenie i teraz potrafili wziąć górę i tak króla polskiego nastroić, że postanowił raczej opuścić swe państwo i wydać je na pastwę losu wojny, niż usłuchać głosu rozsądku. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak chwycić się ostatecznej drogi" i t. d.

Cyrkularz ten kończy się reskryptem do posłów, zebranych na sejmie w Regensburgu w tej samej sprawie.

Pomimo tej zapowiedzianej „ostatniej drogi" nie zaprzestał król pruski dalszych układów pokojowych z Augustem III. za pośrednictwem ministra angielskiego. Co prawda, to piorunem szła ta korespondencya; w dniu bowiem 11. grudnia 1745 datowano już z Bautzen pismo następne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

„Panie Korkiewicz — odezwał się do niego dyrektor, przybierając poważny ton — od tego zależy dalsza pańska praca u mnie, czy pan się dobrze wywiążesz z następującego zadania. Pójdziesz pan teraz do nauczyciela Müllera i nauczyciela Schulza, zaprowadzisz ich pan do Rudzkiego i w mieszkaniu u Beńkowskiego zrobicie rewizyę. Żeby mi ani jeden świstek papieru nie uszedł. Wszystko to dostawić do przejrzenia. Od tego zależy pańska posada. Żegnam pana."

Korkiewicz nie zdołał ochłonąć z wrażenia tych słów nawet, gdy już znalazł się na korytarzu. Zszedł po schodach, a stanąwszy na ostatnim schodzie, myślał długo, dokąd wpierw się udać, czy do Müllera, czy do Schulza. Wreszcie stuknął energicznie laską w kamienny stopień i rzekł: „Pójdę do Frankowskiego" i poszedł nie zwłócząc. „Frankowski" — była to drugorzędna knajpa w pobliżu. Tam zajął miejsce szanowny Korek i zaczął pić. Rozpoczął dwoma koniakami, potem wypił kufel monachijskiego „na stojący", a przy drugim zasiadł, zapalił cygaro i zaczął myśleć...

Zbliżał się czas wyjścia uczniów ze szkoły, a Korek wciąż jeszcze myślał, wprawdzie już przy piątym kuflu. Głowę miał tęgą, ale do napojów, bo do myślenia niebardzo.

Pierwsze grupki gimnazyastów zaczęły już wychodzić z gmachu gimnazyalnego, gdy pan Korkiewicz z pewną trudnością otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Przez chwilę stał, jakby się namyślając, gdzie północ, a gdzie południe, potem wydobył cygaro i chciał je zapalić, ale że zapałkę pocierał niewłaściwym końcem, więc mu się niechciała zapalić. „Szelma, mokra" mruknął pod nosem i schował je do kieszeni. Nagle mu się zaczęła ziemia, jakby kołysać, więc nie chcąc przechodniom dać poznać swej niedyspozycyi, zajął się bardzo gorliwie odczytywaniem szyldu Frankowskiego. W tej pozycyi, z zadartą do góry głową, a chwiejącemi się nogami, spotkali go prymanerzy i żartując zagadnęli go;

„A co się pan Korek tak patrzy? Czy może na szyldzie nie ma niemieckiego napisu?"

— „Ot, młodzi, jak zwykle — odrzekł Korek — myślicie o głupstwach, a niewiecie, z której strony burza nadchodzi".

Te słowa naprowadziły kilku młodych na domysł, że może czegoś się dowiedzą od Korka o Beńkowskim.

„A co też się dzieje z Beńkowskim!" zagadnął jeden.

— „Powiem wam, jak od niego wrócę", odrzekł Korkiewicz, a potem, jakby się spostrzegłszy, że należy działać ostrożnie, dodał, klepiąc poufale po ramieniu jednego z młodych: „Jak spotkacie Beńkowskiego, powiedzcie mu, że jest osioł. Tak jest, osioł! A wam radzę, nie bawcie się w politykę, politykę pozostawcie nam starszym" — z temi słowy poszedł chwiejnym krokiem w stronę mieszkania Mülera i Schulza.

Młodzież tymczasem zaczęła radzić. Nie ulegało wątpliwości, że wszystko wykryte. Do Beńkowskiego idą na rewizyę. Należało, aby go ktoś przestrzegł, ale nikt się nie chciał ofiarować, w obawie, że już może ktoś jest u Beńkowskiego i ostrzegający wpadnie w pułapkę. Stanęło na tem, że jeden z kolegów każe siostrze napisać bilecik do Beńkowskiego, a służąca zaniesie bilecik do piekarni. Rozeszli się wszyscy po domach ze złem przeczuciem i ze ściśnionemi sercami.

Beńkowskiego na ławce na plantach miejskich już żaden z kolegów jego nie spotkał, bo Beńkowski poszedł do domu. Wszedł do swego pokoju nie przez piekarnię, lecz przez drzwi, wiodące od podwórza. Nie chciał się z nikim spotkać. Chciał samotności. Przyszedłszy do swego pokoju, wziął do ręki machinalnie jedną z gazet i chciał czytać. Nic nie rozumiał. Wstał i przeszedł się po pokoju. Zaszły mu łzami oczy, gdy wzrokiem rzucił na szeregi książek stojących na półkach. Miał się z tem wszystkiem rozstać. Co będzie dalej? Usiadł znów i myślał. Przyjmą go może do szkoły agronomicznej w Berlinie? Będzie mieszkał może gdzie w zamian za lekcye polskiego języka? Wszak oficerowie akademii wojskowej uczą się po polsku i biorą od studentów lekcye prywatne. A zresztą wystara się o jakieś stypendyum... Trapiły go tylko dwie myśli. Wstyd wypędzenia z gimnazyum i obawa, że matka to weźmie do serca.

Mimowoli zbliżył się do stołu: na stole leżał właśnie list do niego. Poznał z charakteru, że to od matki i boleśnie mu się zrobiło na sercu. Otworzył i w mgnieniu oka przeczytał. Matka mu pisała, aby oszczędzał ubrania i niepotrzebnych wydatków nie robił, ponieważ już przed ukończeniem gimnazyum nie powinien nowych rzeczy dostawać. „Za pół roku — pisała matka — dostaniesz patent. Wyczekujemy z Bronką tej chwili z niecierpliwością, bo się spełnią nareszcie nasze wspólne marzenia i pójdziesz na medycynę. Stryj robił już starania, abyś dostał stypendyum na studya medyczne. Więc ucz się, kochany synu, bo matka i siostra niebawem twej pomocy i opieki będą potrzebowały. Unikaj wszystkiego, co by ci mogło przeszkodzić w dostaniu patentu tego roku"...

Beńkowski odczytał list powtórnie, a potem położył ręce na stole, oparł na nich czoło i zapłakał. Gorzkie, palące łzy spływały z pod jego powiek i padały na stół, przeciekając pomiędzy palcami. Minęła długa chwila, jedna z tych chwil, kiedy młodzieńcom w ciągu minuty całe lata przybywają.

Beńkowski myślał o matce i o siostrze i przeklinał swą młodość i los, że go już teraz nie uczynił człowiekiem na stanowisku.

Wreszcie otarł twarz i zabrał się do pisania listów: jeden miał być do matki, drugi do kuzyna ojcowskiego, pana Moratyńskiego, któremu sąd zlecił opiekę nad małoletniemi dziećmi.

Zaledwie jednak rozpoczął list do matki, gdy mu sprzedawaczka z piekarni przyniosła bilecik, zapowiadający rewizyę. Wyjrzał do sklepu — Rudzkiego ani Stefka nie było w domu. Sprzedawaczka, pełna obaw, opowiedziała mu, że po obydwu przyszedł żandarm od naczelnika policyi i zaprosił ich razem do biura do protokołu. Beńkowski znalazł wreszcie dość siły, aby wyrzec do niej kilka zdań uspakajających Potem wrócił do swego pokoju, prawie zadyszany. Zamknął drzwi z wewnątrz na klucz. To samo zrobił z drugiemi drzwiami, prowadzącemi na podwórze. Okno starannie zamknął i zasłonił firanką. Na uprzątnięcie papierów, któreby mogły wydać któregokolwiek z kolegów, potrzebował co najmniej pół godziny. Drugie tyle na spalenie książek zakazanych w Prusach. Trochę czasu też na wydarcie z niektórych książek nazwisk ich dawniejszych właścicieli - ofiarodawców. A tu rewizya mogła nadejść zaraz.

Po namyśle, który trwał kilka chwil zaledwie, Beńkowski zaczął barykadować drzwi. Drzwi zarówno z podwórza, jak i z piekarni otwierały się do wewnątrz pokoju i położone były na dwóch przeciwległych ścianach, jedne prawie naprzeciwko drugich. Ze stołów i krzeseł, zesuniętych razem w jeden szereg, Beńkowski zrobił fortyfikacyę przez całą szerokość pokoju, niby pomost, którego oba końce szczelnie przylegały do obojga drzwi. Było wprost niepodobieństwem drzwi otworzyć z zewnątrz siłą, o ile ktoś będący w pokoju nie usunął stołów. Beńkowski był zadowolniony i zabrał się do roboty.

Zebrał starannie wszystkie papiery, wszystkie listy kolegów, wyjął notatki, tyczące składek na bibliotekę, a gdy sądził że już nic nie zostało, coby mogło narazić którego z kolegów, zabrał się do odsunięcia stołu w celu przejścia do piekarni. Zamierzał w piwnicy zakopać te papiery w piasku. Lecz zaledwie drzwi uchylił, gdy go doleciały głosy Müllera i Schulza, rozprawiających z panną sklepową, a potem dosłyszał głos Korkiewicza. Zamknąć napowrót drzwi, zasunąć je stołem — było to dziełem jednej sekundy. Struchlały, przerażony, dygocący cały, Beńkowski nasłuchiwał, Oto kroki zbliżają się do drzwi. Ktoś puka. Wreszcie bierze za klamkę i chce wejść. Zamknięto. Potem coś mówi...

Beńkowski schwycił zapałki, leżące na stole i z papierami podążył do pieca. Darł papiery w szmaty, w wąskie, długie paski, aby się łatwiej paliły. Trzy, czy cztery zapałki zepsuł, zanim zapalił. Ręce mu dygotały, gdy wrzucał do płomienia ukochane papiery. Paliły się powoli, nie można było odrazu zadużo papieru rzucać. Tymczasem pukanie przeszło w hałas — potem ucichło, a potem znów się rozpoczęło z drugiej strony, od drzwi z podwórza. Beńkowski stał przy piecu i palił. Słyszał hałas zmięszanych głosów, zdawało mu się, że słaby zamek puścił i że drzwi się uchyliły o parę cali, — dalej je stół zatrzymywał. Przez szparę zajrzały jakieś twarze, a ujrzawszy go palącego papiery w piecu, cofnęły się z przekleństwem. Beńkowski wciąż rzucał papiery w ogień.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W KNIEI.

Adolf Stroner.

Noc Belwederska.

Cicho w mieście, jakby w grobie,
Który głazem wróg przywala;
Słychać tylko jakieś szepty,
Przyspieszone kroki zdala
I gdy księżyc zza chmur błyśnie —
Widzisz, jak bez wodza, steru
Spieszą ludzie tam, gdzie w mrokach
Toną mury Belwederu.

To młódź polska spieszy ku nim —
I niedługo, a zawoła:
Hej, do broni wierny ludu,
Ty mężnego serca, czoła,
I zrzuć z siebie te kajdany,
Co cię hańbią — żywo, śmiało,
A dobędziesz wnet z pod głazu
I twej Matki żywe ciało!

Na to hasło lud się zbroi;
Święta wojna już wydana,
I kto żywy, Polsce wierny
Spieszy wygnać tam tyrana,

Kędy brudne nurty Newy
W sromie całą Moskwę pławią,
Nim i ją wolności hasła
I rozbudzą, i wybawią.

I wre walka straszna, święta:
Lwy tu walczą z szakalami
I zwycięstwo po zwycięstwie
Zdobi skronie ich laurami.
Lecz tam w „górze“, tam u steru
Dyplomacyi widmo szerzy
Lęki trwogi, gdyż ta „góra“
Drżąc, w narodu moc nie wierzy.

Precz, precz — woła naród cały —
Z dyplomacyą, z tą zgnilizną!
Nam należy bić, zwyciężać
Z Bogiem w sercu i Ojczyzną!
Nam należy!... Lecz wróg dziki
I tej „góry“ niedołęztwo
Wszak przechyli na rzecz Moskwy
Tryumf nowy i zwycięztwo.

* * *

Cicho w Polsce, jakby w grobie,
Który głazem wróg przywala;
Słychać tylko płacze, jęki
I kajdanów brzęki zdala;
A gdy księżyc błyśnie, widać
Bezkrzyżowe cmentarzyska,
Nad któremi kruki, sępy
Wyprawiają swe igrzyska.

Lecz cyt, serce, cyt, zbolałe!
Nie rozpaczać nam bez końca,
Ale wiarą z nocnych mroków
Wzlatać ku wyżynom słońca;
Ale kochać lud siermiężny,
I dobywać go z niemocy,
A zwycięztwo będzie przy nas
I dzień jasny błyśnie z nocy!

Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

SZKIC ETNOLOGICZNY.

(Ciąg dalszy)

II. ROŚLINY U LUDU.

Śpiewność ludu naszego jest znaną; wszystkim ważniejszym obrzędom towarzyszą odpowiedne do tego piosnki. Toż samo podczas weselnego obrzędu liczne piosnki śpiewane bywają, a w większej ich części znajduje się zawsze wzmianka o rozmarynie.

Wielkopolanka przy czesaniu warkocza nuci:

„Ty wianku rozmarynowy
Niespadaj mi z mojej głowy
Bom cię prawą ręką wiła,
Jakem jeszcze panną była“,

a tańcząc „małego“ z panem młodym, śpiewa:

„Com ci Jasiu obiecała
To ja tobie dam, dam, dam,
Ten wianek rozmarynowy
Com go zdjęła z swojej głowy
To go tobie dam
Bo go jeszcze mam.“ [1])

Przed ślubem drużbowie z wieńcem rozmarynowym chodzą pomiędzy weselnymi gośćmi i wybierają pieniądze na muzykę i na pierwszy ślubny podarek od obecnych gości dla państwa młodych.

„Weselna niewiasta“ (starościna) kładzie na głowie oblubieńców po małym wianuszku rozmarynu, który zastępuje im ślubne obrączki. Wianuszki te, podobnie jak obrączki, poświęca kapłan na tacy, i następnie kładzie na głowy nowo zaślubionych. [2])

Lecz nietylko Wielkopolanie potrzebują do swych obrzędów rozmarynu. W Kieleckiem wiją wieńce weselne z ruty, barwinku i rozmarynu, skąd śpiewka:

„A mój wianku z trojga ziela
Służyłeś mi do wesela“.

a koło Siewierza nuci wesoły parobek:

„Wije dziewucha wieniec nowy
Ślicznie rozmarynowy“.

W Czerskiem przy rozplecieniu włosów przystrajają pannę młodą w rozmarynowy wieniec, a ona znów przypina panu młodemu bukiecik rozmarynu do żupana. [1])

W Lubelskiem narzeczeni przez całe trzy tygodnie, podczas których zapowiedzi głoszone bywają, okazują się zawsze czy w święto, czy w dni zwykłe, czy przy tańcu, czy przy robocie przystrojeni w kwiaty rozmarynu. Przez całe trzy tygodnie, tu zapowiedziowemi zwane, dostarcza kwiatów narzeczonemu oblubienica, rozmarynu zaś potrzebnego na ślubny wieniec i cały obrzęd weselny musi dostarczyć narzeczony i ten, nie mając go w swym ogrodzie, musi wykradać go „przez największe ściany“, jak to przytoczona wyżej śpiewka wspomniała.

Wieniec rozmarynu może tylko zdobić główkę tej dziewczyny, która niewinności swej jeszcze nie utraciła, bo tylko na takiej głowie zachowuje swą wonność i świeżość. Na głowie dziewczyny, która niewinności swej przedwcześnie się pozbyła, więdnie i opada tak, jakby się wstydził, że jego kwiatu niewinności użyła osoba niegodna. Dlatego też wkłada lud śląski następne zapytanie takiej dziewczyny:

„. . . . .
Wianku z rozmarynu
Czem na głowie mi więdniejesz?“

na co rozmaryn odpowiada:

„Jakże bym nie miał więdnąć,
Gdy już nie jestem cały,
Zielone listeczki
Już poopadały“ [1])

Nawiasowo, dla lepszego zrozumienia śpiewki tej, wspomnieć muszę, że wianek a niewinność to wyrazy u ludu naszego identyczne. Wyrażenie „utracić wianek“, to samo, co stracić niewinność.

Z żalem żegna dziewica swój wianek, z ciężkiem sercem rozstaje się z swemi kwiatami. W starej broszurze [2]) znajdujemy w pieśni, którą dziewczyna, idąc za mąż, śpiewa, żegnając się z kwiatami i następującą zwrotkę o rozmarynie:

„O ty, śliczny rozmarynie,
Już cię ono szczęście minie,
Kiedym cię łamała,
Panięto m dawała“.

Tak, jak zdobi rozmaryn człowieka przy chrzcie, przy pierwszym kroku w życiu (gdyż nowonarodzone dziecię dla obrony przed urokami i słabością kładzie lud na rozpostarte rozmarynu kwiaty), jak zdobi oblubieńców na pierwszym kroku do wspólnej drogi na resztę życia, tak też to wiecznie trwałe według wiary ludu ziele zdobić musi i zmarłego na drogę

[1]) Kolberg. Lud etc.
[2]) Kolberg. Lud etc.

[1]) Pruski, Obchody weselne.

[1]) Roger. Pieśni ludu śląskiego.
[2]) Kiermasz wieśniacki, albo rozmowa Kmosia z Bartoszem na za-Wiślu napisana przez Jana z Wychołówki.

jego w dal tajemniczą, bo kwiaty rozmarynu przemieniają się w złoto, którem przyozdobione dusze śmielej i z większą otuchą stają przed srogim, lecz sprawiedliwym sądem Przedwiecznego. Wiele skazek ludowych opowiada o tem, jak dusze zmarłych, których ciała rozmarynem przyozdobione były, łatwiejszy do nieba uzyskały przystęp. Ciała zmarłych, w rozmaryn przystrojone, nie ulegają tak prędko gniciu, a z ust starszych ludzi słyszałem opowiadanie, że gdy przed kilkudziesięciu laty w Sławucie (gub. podolska) wykopano przypadkowo trumnę młodej dziewczyny, od śmierci której już przeszło 30 lat minęło i odkryto wieko, obaczono, że ciało całe pokryte było rozmarynem świeżym, zielonym i kwitnącym. Po usunięciu tej kwiecistej powłoki, trup zmarłej wyglądał tak świeżo, jak gdyby dzieweczka ta dopiero wczoraj zgasła i pogrzebaną została; twarz nawet zatrzymała swe rumieńce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Noc ledwie ustępować poczęła, a na jej miejsce zawitał szary i mglisty poranek, w towarzystwie wiatru i drobnego deszczyku, gdy drogą za miastem jechało wierzchem trzech mężczyzn, owiniętych w płaszcze z czapkami na czoło zesuniętemi. W miejscu, gdy zostawili za sobą mieszkania ludzkie a przed nimi rościągnęła się już tylko zielona płaszczyzna, kończąca się kępami drzew, przystanęli a jeden z nich zapytał towarzysza jadącego nieco z tyłu:

„Wiesz napewne, że tam?“, przy tych słowach wskazał na widniący pomiędzy drzewami biały dworek „bo wstyd narażać się niepotrzebnie“.

„Tam, tam, zresztą zbliska poznamy na pewne“, odparł zagadnięty, wysuwając się naprzód i bodąc konia ostrogą do szybkiego kłusa, tak że razem z towarzyszami, którzy za nim pospieszyli, wkrótce znalazł się przed budynkiem. Gdy go można już było zupełnie dobrze widzieć, stanęli i poczęli mu się przypatrywać. Był to duży domek murowany, parterowy, ale oddawna już zdaje się niezamieszkany; tak przynajmniej świadczyć się zdawały drzwi stare niedbale odchylone, otwory od okien deskami pozbijane i w ogóle całe obejście, na którem ani śladu żyjącego stworzenia nie było. Po chwilce milczącego wpatrywania się, ten sam mężczyzna, co pierwszy wysunął się z koniem do kłusa, rzekł stanowczym głosem: „tak to widocznie tutaj“. Wtedy dwaj inni, odchyliwszy płaszcze, w samych sukniach poschodzili z koni, przyczem można było poznać dwóch młodych ludzi, Juliana i Karskiego.

„Pójdźmy więc“, rzekł teraz starościc, poprawiając pas na sobie, poczem zwracając się do siedzącego jeszcze na koniu Semena, dodał:

„Waść, panie Semenie, baczcie także, żeby nie uszedł którędy, nim jeszcze go znajdziemy“,

Po tych słowach we dwóch z Szubalskim weszli do domu. a z sieni rozeszli się na dwie, różne strony, umówiwszy się o oznaczone gwizdnięcie. Karski przeszedł kilka pustych izb, oświeconych słabo przez szpary w deskach, gdy usłyszał gwizd przyjaciela. Natychmiast zwrócił się i szybkim krokiem dostał się do izby po przeciwnej stronie domu, w której Szubalski mówił do siedzącego na tapczanie Parackiego.

„Przyszliśmy uwiadomić cię pułkowniku o rzeczy, tyczącej się zarówno ciebie jak i ojczyzny. Uważaj nas za swych gości — jestem Juliusz Szubalski a to — wskazał na wchodzącego Adama — mój przyjaciel starościc Karski — uważaj nas za swych gości i pozwól na rozmowę, a przedewszystkiem na światło“, to mówiąc zwrócił się do zapartego deskami okna i usiłował je wywalić. Pospieszył mu z pomocą Karski i zdołali kilka desek usunąć, które z trzaskiem padły na podwórze. Wraz z ożywczem chłodnem powietrzem dostali się do izby i światło padło na pułkownika, który niezwykle zdziwiony wizytą, mimo to jednak bez trwogi w pięknem obliczu narzucał na siebie opończę.

„Nie miej nas tylko mości pułkowniku za zbójców“, odezwał się starościc, „mój przyjaciel już ci powiedział po cośmy przyszli“, po tych słowach usiadł na ławce, a obok niego Szubalski.

„Nim się dowiem, czem waszmościom mogę służyć jako gospodarz tej pustki, odezwał się dźwięcznym, pełnym głosem pułkownik, który na widok szczerej twarzy Adama zupełnie się uspokoił „muszę ich zapewnić, że niezwykle się cieszę z odwiedzin dwóch — tuszę dobrych patryotów.

„Według ciebie, mości pułkowniku“, palił śmiało i swobodnie starościc „złych, bośmy stronnikami Moskwy“.

Paracki drgnął na całem ciele i stracił spokojny dotychczas wyraz twarzy. Nie wyszedł jednak z roli grzecznego gospodarza tylko podchwycił:

„Sądzę, że każdy służy ojczyźnie jak może. Choćby źle nawet,. zasługuje na miano patryoty“.

„A jeżeli źle działa, powstając przeciw silniejszym opiekunom, to z zaślepienia“, ciągnął dalej starościc.

„I z zaślepienia, a nie aby zasłużyć na miano zdrajców, lub dla korzyści, łączy się z wrogiem“ — mówił Paracki, topiąc przeciągłe spojrzenie w gościu. — „Niewielu jest takich, którzyby przekupieni sprzedawali swój honor i przyszłość kraju“.

„Słusznie mówisz, pułkowniku“ — zabrał głos rudy Szubalski — „Czy wiesz, pocośmy cię tak znienacka odwiedzili?“

„Nie śmiałem miłych gości o to pytać“, — wymówił z naciskiem gospodarz.

„Po to, aby ci wykazać po przyjacielsku, że należysz do tych, którzy z zaślepienia szkodzą ojczyźnie“.

„Każdemu wolna droga“ — odparł ponuro Paracki, jakby chcąc się zbyć nowych znajomych.

„W dzisiejszych czasach nie wolna“, mówił starościc — „bo ją patryoci zastępują i każą zejść na inną. Co długo gadać, pułkowniku, wzorem innych źle zapatrujesz się na Moskali. Podejrzywasz ich, osłabiasz konfederacyę, ich siły, bo nie możesz zrozumieć, że są przeznaczone na to, aby bronić Rzeczypospolitej“.

„Śpiewasz na nutę tej przeklętej carycy, mówisz, jak dziecko, że ktoś ze stu mil przychodzi bronić obcy kraj“.

„Waść, pułkowniku, śpiewasz na nutę przeklętego Puławskiego, ufasz, jak dziecko, jego słowom, bo pojąć nie możesz polityki. Nie chodzi tu carowej o Rzecz pospolitą, chodzi o to, żeby Prusom i Austryi nie pozwolić zagarnąć nasz kraj, żeby się zanadto nie wzmogły!“

„Przebóg, starościcu! To ja ci więcej powiem, że carycy chodzi o to, żeby Rzeczpospolitą sama zagarnęła. Ona nie chce być królem polskim, ona chciałaby z nas zrobić swoich niewolników, którzyby w Petersburgu ulice zamiatali, na miejsce naszych panów chce swoich faworytów poobsadzać, a naszych książąt zmoskalić. Jeżeli nie zagarną Prusy i Austrya, to zrobi to Rosya.

Na to zrobiliśmy świętą konfederacyę, żeby tych psów trzech maści za dziesiątą górę wygonić. Jak zejdzie konfederacya, to nam tylko kamień do szyi sobie przywiązać, bo będzie hańba, hańba trzykrotna, hańba dla nas, dla naszej ojczyzny, i dla was nawet, wy podli służalce Moskwy. Ha! Myślicie że nie wiem, coście za jedni, i wyrżnął pięścią w stół tak potężnie, że spróchniały sprzęt rozsypał się w kawałki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Władysław Witwicki.

Z LWOWSKIEJ WYSTAWY.

(Dokończenie).

Zrozumienie utrudniają nieco zawielkie rozmiary obrazu o tak drobnym motywie i moment wieczornego oświetlenia, który pospolity człowiek rzadko obserwuje. Pierwsza trudność zniknęłaby, gdyby obraz był małą akwarelą, druga nie obchodzi artysty, który przedewszystkiem tworzy dla siebie. Rzeczą widza jest lepiej naturę obserwować, kiedy chce sądzić obrazy. Drugi obraz, który już znalazł zrozumienie i zdobył uznanie, to „Ballada“. Rzecz na prawdę silna nie potrzebuje podpisu i komentarza. Symbol. Strach, trwoga przed czemś nieznanem, potężnem a nieunikniοnem. Coś tajemniczego i strasznego. Więc w księżycowej nocy ciężkie chmury pędzą. Dmie jesienny wicher po brzozach ogromnych aż konary trzeszczą. Gna zeschłe liście przed sobą, burza idzie. — To dał artysta w obrazie i malował szeroko a wiernie. Wziął koloryt zimny i zielonawy, mrok rzucił na płótno, wydobył księżycowe blaski, na białych pniach położył wielkie kłęby chmur na niebo — to środek, którym Klinger w swych „fantazyach Brahmsa“ tak potężnie gadał — zdjął wielkim łukiem brzozy grube, tak Stuck raz wiatr namalował — i rozsypał żółte plamy liści po obrazie. Obraz zatrzymuje widza, mówi do niego i porusza. Każdy środek, którym artysta wrażenie wywołał, każde „słowo“ wielkie, proste, wyraźne i mocne. Jedno może nawet: za wyraźne, zanadto familiarne. Oto, malarz, chcąc może widza przemocą w obraz wciągnąć, chcąc mu jakoby na kark całą burzę z ram wypuścić, maluje wśród tych potężnych i tajemniczych dekoracyj karetę z parą nieco apokaliptycznych koni i woźnicą na koźle.

Człowieka w grę wprowadza. I to jeszcze człowieka z całym taborem codziennych gratów, z peleryną, kaszkietem i bodaj, czy nie walizką na rzeczy. Ze symbolu wielkiego i ogólnego robi się niby obraz rodzajowy, robi się anegdota. Dzieło byłoby wielkiem i bez tej karety, symbol byłby mówił sam do widza, a tak na co tak wielkich dekoracyj dla tego pana, który tylko w okropną pogodę z domu wyjechał. Gdyby nie było karety i tych kominów przy niej, myślećby można o upiorach i czartowskich tańcach, patrząc na obraz, teraz żal się człowiekowi robi podróżnego w karecie i przypomina się wilgotne zimno, jakie go musi trząść i katar który do domu przywiezie. — Ale nie poprawiamy artysty. Jeżeli to chciał namalować — wolno mu było. I tak dawnośmy nie widzieli tak pięknej rzeczy na naszej wystawie. Cieszmy się, żeśmy poznali człowieka zdolnego i oryginalnego, człowieka, który ma swoje własne cechy malarskie, człowieka, który umie coś powiedzieć w obrazie i mówi wyraźnie a głośno.

Prócz Ruszczaka, pokazał się u nas po raz pierwszy p. Wysocki. „Judyta“. Motyw nieco zużyty, ale wolno malarzowi i najstarsze motywy opracować, jeżeli je po swojemu, a dobrze opracuje. Wysocki wyrysował swą figurę starannie, ruch jej dał teatralny w najwyższym stopniu i przesadził nieco we fiołkowym kolorze. Za to blask czerwony od węgli dobrze rozmieścił na ciele modelki i uzyskał tem pewien efekt. Praca wygląda na robotę ucznia, który ma głowę pełną akademii, a nie miał czasu wyrobić się samodzielnie, Bo i co tam jest oryginalnego? Chyba ten fiołkowy koloryt. Ale i to już było. Jego Chrystus na skale nie ma nawet tego rysunku, który miała Judyta, a kolorów w nim aż zawiele. W cieniach postać trzymana popielato, a to rzecz zabójcza dla obrazu. Na niebie wszystkie kolory tęczy i mimo to blasku światła nie ma. Na skałach mnóstwo szczegółików różowych i te szkodzą wrażeniu całości. Tak maluje czasem młody człowiek, kiedy nie może sobie żadnej barwy darować, którąby tylko mógł na płótnie położyć, kiedy mu żal opuścić każdego szczegółu, któryby można w obraz włożyć. Z malowidła robi się mozajka a przepada wrażenie ogólne, zatraca się działanie całości, które może wystąpić przy szerokiem traktowaniu obrazu, przy malowaniu masami, a nie szczegółami. Zawsze jednak Wysocki posiada materyał, z którego może się dzielny malarz wykształcić. Ma rysunek poprawny, gdy chce. Pokazał go w Judycie i w studyum bladej Holenderki. Ma rozmiłowanie w barwach, aż zbyt wielkie dziś i nieumiarkowane, ma pomysły swoje czasami. Przecież on chciał coś powiedzieć tym zmęczonym Chrystusem na skale nadmorskiej i tą madonną przy księżycu. Niech się wyburzy — a ustoi, to i zobaczymy, że nie zawiódł nadziei.

Kto również wiele obiecuje, to Wachtel. Z Monachium przyjechał, napatrzył się i wiedeńskiej secesyi a o rodzinnych tematach nie zapomniał. Wystawił dwa studya Włoszki w słońcu. Znakomicie oświetlone i wymodelowane w szkicu. W portrecie własnym lampę umieścił u dołu dla wciśnięcia figury w mrok ale aureolę dał lampie tak gęstą, że psuje efekt obrazu, zamiast go podnosić. A szkoda, bo głowa scharakteryzowana i narysowana znakomicie. Już to mu wogóle najwięcej odpowiadają sztuczne oświetlenia lampionami i świecami, bo ich najczęściej używa. I owszem, jeżeli tak będzie logicznie rozmieszczał, jak na Żydach, grających w szachy — czy w coś podobnego. Byleby się w tem nie specyalizował, bo toby było zbyt wielkie zacieśnienie talentu, szczególnie w czasach dzisiejszych, kiedy ludzie widzą światło słoneczne i mgłę w powietrzu, a zaprzestali konkurencyi z Rembrandtem. Materyał w Wachtlu jest, głos jest i szkoła także; czekajmy, co będzie śpiewał, a zobaczymy jak mu się uda. — Tyle z ciekawszych rzeczy na wystawie. Jest i wiele innych, ale mniej ciekawych; jest Reyzner i Daczyński, są rzeczy dawno znane, jak Pruszkowski i rzeczy stare, jak Żmurko. Tu się uwaga nasuwa, że Warszawa ma w tym malarzu swojego Reyznera, ale Lwów nie ma w Reyznerze swojego Żmurki. Tamten często rabia główki na słodko, ale ten nie rabia nigdy „Pieśni wieczornej“. — Trudno! Wedle stawu grobla.

List z zaścianka.

Znakomity (bo któż u nas nim nie jest) humorysta, kryjący się, Bóg wie, przez jaką skromność, pod pseudonimem Protazego Prztyka, w inauguracyjnej swej „Gawędzie niedzielnej“ podał światu tak pochlebny ze wszech miar opis topo- geo- i antropo-graficzny Galicyi i Lodomeryi, wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, że gdyby nie fakt, iż to samo i równie pięknie uczynił już pan Bartoszewicz w swoim „Ananasie“ przed paroma laty, nigdyby się wam uniżony i tem samem niżej podpisany nie odważył na małe uzupełnienie tego obrazka. Ale ponieważ żyjemy w czasach, w których dzięki a n g i e l s k i m piórom, n i e m i e c k i em u atramentowi i w ę g i e r s k i e m u papierowi, jesteśmy w możności pisać o s w o js k i c h rzeczach, więc i ja umoczyłem w inkauście pióro... i do dzieła...

Otóż, przedewszystkiem uzupełniam rzecz pana Protazego w tym mianowicie kierunku, że nasza kochana, ściślejsza ojczyzna, od Białej po Husiatyn, jest sobie skończonym paradoksem. Bo proszę mi wskazać choćby jedno miejsce na ziemi, oczywiście „rolnicze“, gdzieby rolę uprawiali kapitaliści bankierzy, a na odwrót rolnicy szlachcice bawili się w dyrektorów, lub prezesów banków? Nie koniec na tem. Budowniczowie referują sprawy sanitarne, rabini i inne duchowne osoby obejmują przedsiębiorstwa budowlane, aktorki bawią się w literatów, a literaci grają komedye, wkońcu krawcy dostawiają buty dla wojska, a szewcy — robią politykę i kandydatów poselskich.

Sprzeniewierzyłbym się zasadom porządku, gdybym w obecnej dobie pominął kwestyę tak ważną, jak wybory i jeżeli wśród tej walki chodzę jeszcze z nieobandażowaną głową, o własnych nogach, t. j. bez kuli, zawdzięczam to jedynie tej okoliczności, że mam sympatye u wszystkich „partyj“, dzięki politycznemu wykształceniu, nabytemu w szkole naszych „wybitnych“ polityków z lewicy, tej dobrej, która przedziwnie za wiatrem, jak żelazny kurek na wieży, umie się obracać. Nawiasem dodam, że nie musi to być koniecznie kurek, może to być i „lewek“, jakiego mamy na lwowskim ratuszu, a który, kontrolowany przez orła nad nim umieszczonego, stale najczęściej zwraca łebek ku wałom gubernatorskim, lubieżnym wzrokiem spoglądając na gnieżdżące się tam „kawki“. Fakt ten tłumaczą lwowscy meteorologowie wprawdzie tem, że we Lwowie wiatr stale w tamtą stronę wieje i że gdyby się przypadkiem lewek w inną odwrócił stronę, kawki przyleciałyby mu z pomocą, aby go „nawrócić“; ja atoli, nie będąc astronomem, nie mogę wam ręczyć za prawdziwość, bo wszak wiadomą jest rzeczą, że astronomowie stawiają jedynie same hipotezy... A zresztą, co mi do tego...

Ale... miałem pisać o wyborach, a odbiegłem od rzeczy tak daleko, jak pan Rutowski od mandatu, choć będąc wyborcą z V. kuryi, powinienem całe swoje jestestwo tylko w tym jednym zestrzelić punkcie, tem bardziej, że nie mogę się zdecydować, któremu z tuzina kandydatów na krzesło poselskie można głosem mym zwycięstwo zapewnić. I wierzcie mi, że nie ja jeden tylko jestem w takim kłopocie. Mam przyjaciela, z którym dlatego tylko żyję w ścisłej przyjaźni, że się bardzo rzadko widujemy. Pochodzi to stąd, że mamy zupełnie krańcowe przekonania polityczne. Ja, naprzykład, jestem — że się tak wyrażę — konserwatywno - postępowo - katolicko - reformowanym. Wierny tym zasadom, czytuję tylko „Ruch katolicki“, „Dziennik polski“, „Czas“ i „Słowo polskie“. Radykalizmu objawy czuję w sobie tylko wtedy, gdy mi rano podadzą kawę z przydymioną śmietanką, lub bułkę o smaku kluski z mąki kartoflanej. Natomiast mój przyjaciel jest radykałem-socyalistą skończonym, ba! nawet anarchistą, bo od dwu lat nie zapłacił ani centa podatku, a dwa razy do administracyi podatkowej wzywany, nie jawił się tam wcale. Czytuje tylko „Naprzód“ i „Monitora“, a czasem, gdy jest lepiej usposobiony, „Kuryera lwowskiego“. Przed paru dniami zdybujemy się na ulicy i bez długich wstępów wprost mnie pyta: — „Słuchaj, Gerwazy, na którego „szubrawca“ mam głosować?“ — Przyznam się, że byłem tem pytaniem mocno zdziwiony, bo sądziłem, że mój przyjaciel zwaryował. Popatrzyłem nań podejrzliwie, a on snać mnie zrozumiał, bo powiada: „Nie bój się, nie umknąłem z Kulparkowa, bo i wreszcie waryatów tu w mieście więcej, niż tam, ale posłuchaj: Miałem głos oddać na Hudeca, a tu czytam w „Monitorze“, że mój kandydat „szubrawiec“. Jechał cię sęk! Dam głos na Breitera. Było to rano. Po południu biorę do ręki „Naprzód“, jak to zwykle czynię przy czarnej kawie i czytam: jak na dłoni napisane, że Breiter to prosty „szubrawiec“. Ki dyabeł— pomyślałem, — kto tu właściwie mówi prawdę? No i pomyśl, kochany Gerwazeńku, doznaję teraz takiego uczucia, że nie wiem, czyli ja sam nie jestem złodziejem i szubrawcem, a Galicya jednym wielkim kryminałem, z udaną „autonomią“. Wysłuchawszy tej tyrady desperata politycznego, zrobiłem mu skromną uwagę, że prócz tego są jeszcze kandydaci: katolicki, ruski, mieszczański, reformowany i skoncentrowany.. Na to wszystko machał tylko ręką i natchniony, jęknął: „Widzę, że będziemy musieli stworzyć jeszcze jedno stronnictwo, któreby było przedświtem lepszej przyszłości dla kraju“.

— „Z ust mi to wyjąłeś, kochanie — odparłem — lecz zdaje mi się, że cię już ktoś uprzedził. Czytałem, że powstaje nowy organ, podobno nawet przedświtowy, a nawet wymieniają luminarzy nowej partyi...

— „Jacyż to? — pyta mój przyjaciel skwapliwie; promień nadziei zaświtał mu w oczach.

Recytuję tedy: Abgarowicz, Teodorowicz, Zadurowicz, Madurowicz, Nikorowicz...

— „Dodaj-że jeszcze „Karyerowicza“ a będziesz miał komplet“ — krzyknął mi nad uchem przyjaciel i nie pożegnawszy się odszedł w gniewie.

Ot! i przeklęta polityka sprawiła, że straciłem przyjaciela. Ale pocieszam się przynajmniej tem, że taki zwyczajnie w dzisiejszych czasach bywa koniec przyjaźni. Doświadczył tego samego na sobie i pan Romanowicz. Był hardą duszą i „wykiwali“ go; wpakowany do Wydziału między „obszarników“, którym, na wiasem mówiąc, z „obszarów“ pozostały mapy katastralne na pamiątkę, opuścił ich dla „naftowców“, natknął się na „zimę“ i osiadł na lodzie, a teraz nawet i socyaliści nie chcą z nim gadać, nie rozumiejąc jego politycznego języka, odgrywającego wobec ich haseł rolę jakiegoś sanskrytu.

Niech to jednak pana Romanowicza uspokoi, że ludzie się zmieniają, a z nimi razem i języki. Słyszałem, naprzykład, niedawno temu, że pewien duchowny dygnitarz, który w tempie *crescendo* postąpił w hierarchii społecznej, dzięki wysokiemu polskiemu pochodzeniu, znalazłszy się na najwyższem stanowisku, nagle zapomniał mowy z mlekiem matki wyssanej. *Tempora mutant mores, sed saepe in — errores...*

Prawdziwość tej sentencyi widzimy u nas niestety, na wielu polach życia, nietylko publicznego. Ze wzrostem nauki gimnastyki dostrzegamy coraz to więcej wycinanych koziołków politycznych. Ze wzrastającym postępem tylu idzie rączym krokiem, jakbyśmy się mieli wrócić do epoki, w której skoropiaki panowały na globie ziemskim. Wśród debat nad rozwojem szkolnictwa, powodzi Kół „Szkoły ludowej“, lęgną się napady, jak np. na Goetza w Okocimie, a chluba narodu, młodzież akademicka, zamiast się uczyć i spełnić nadzieje, zastanawia się nad „unormowaniem swego stosunku do profesorów“, lub gremialnie solidaryzuje się z awanturnikami. A no! — czy przyda się na co upominanie w kraju, o którym wielki Juliusz powiedział: „Choć wiem, że słowa me nie zadrżą długo, tam gdzie nie trwa myśl ani godziny. Mówię, bom smutny i sam pełen winy“... Wielka to prawda...

Gerwazy Myk.

Ostap Ortwin.

Dla pięknej pani Gabryeli Zapolskiej słów kilka.

Motto:
Choćbyś była, jak miedź...
Z listu A. Sygietyńskiego.

Mamy głęboki szacunek i rzetelne uznanie dla wielostronnego geniuszu p. Zapolskiej. Przyznajemy chętnie, że lekcye flirtu, jakie ta bardzo zasłużona autorka codziennie nadobnym czytelniczkom swego organu udziela, świadczą dobitnie o niepospolitej znajomości serc męskich i wytrawnej wprawie w tym arcytrudnym kunszcie życiowym. Jesteśmy przekonani, że zbiorowem wydaniem przepisów na szyk, wdziek i elegancyę, które w konkurencyi z „365 obiadami“ pani Łucyny Ćwierciakiewiczowej, stanie się niezbędnym poradnikiem dla naszych gęsi i gąsek, stworzy sobie p. Gabryela pomnik trwalszy od spiżu. Nie przestajemy ani na chwilę jednak mimo tych nowych, dla piśmiennictwa jeszcze niezupełnie wyeksploatowanych jej zdolności, uważać ją przedewszystkiem i w pierwszym rzędzie za znakomitość sztuki aktorskiej.

Utwierdza nas bowiem w tem dla niej pochlebnem mniemaniu świeże doświadczenie, które poucza, że p. Zapolska w długoletniej swej karyerze artystycznej tak przyrosła do teatralnej maski złudy i pozoru, że porzuciwszy „Przedpiekle“ zakulisów celem zakoczowania wśród oklasków usłużnej reporteryi w „Szumiącym lesie“ publicystycznej roboty, gra komedyę z taką, zrozumiałą zresztą rutyną, że zdołałaby najzatwardzialszych bywalców teatralnych co do swych prawdziwych intencyi w błąd i w pole wyprowadzić. Bystrzejsze jednak oko z łatwością pozna się na farbowanych lisach, a zdmuchnąwszy bez wysiłku osad pudru i szminki, przejrzy misternie, a obłudnie uprzędzioną siatkę intrygi.

Wtajemniczeni wiedzą dobrze, jaką dziewiczą nienawiścią pała serduszko p. Gabryeli ku nowemu dyrektorowi naszego teatru. Poprostu oczy by mu wydrapała. Prywatne jej w tej mierze uczynione zeznania nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że „Karyatyda“ podtrzymująca architraw najpoczytniejszego u nas pisma polskiego, ma szlachetny zamiar zalania mu gorącego sadła pod skórę. W tym celu ułożyła sobie p. Gabryela zawikłany plan manewrów i konsekwentną marszrutę. Nie chcemy od razu komentować dotychczasowych jej arcyzabawnych ruchów strategicznych; na dziś zaznaczamy jedynie, że p. Zapolska, jako osoba nerwowa, łatwo daje się wytrącać z równowagi i wtedy mimowoli i bezwiednie z pod owczej skóry wyłażą różki sekutnicy. Przykład takiej nieostrożności dała nam w pamiętnym pod tym względem, gromkim artykule o „Naszych najserdeczniejszych“, kiedy ni stąd ni zowąd, ni w pięć ni w dziesięć, prosząc najpierw czytelników o votum zupełnego zaufania sans phrase w jej bezstronność i dobrą wolę, zazuaczyła rozstrzelonym drukiem, że w takim stanie rzeczy nie myśli powrócić na scenę lwowską, ani jako aktorka, ani jako (od czego chroń nas Panie Boże!) autorka.

Pomijając okoliczność, że wycofanie sztuk jej ze sceny lwowskiej stanowi dla nas jedną z najszczytniejszych jej zasług i ofiar, złożonych z poświęceniem miłości własnej na ołtarzu literatury dramatycznej, zachodzi pytanie, co znaczyło owo zjadliwe „w takim stanie rzeczy“.

Otóż chcemy p. Zapolskiej wyjaśnić, że obecny dyrektor teatru ma za sobą przychylność i sympatyę wszystkich młodych miłośników dramatu i że w razie jakiejkolwiek głośniejszej zaczepki z jej strony, winna być przygotowaną na atak śmiałych i zaciętych partyzantów, którzy wojnę wszczętą w jej piśmie będą gotowi prowadzić z właściwą młodzieńczej zapalczywości werwą i brawurą. To raz. Powtóre uważamy publicystyczną działalność p. Zapolskiej za wysoce szkodliwą. Z gorącą skwapliwością uprawia ona obecnie zawód duchowej markietanki filisteryi naszej. Liweruje hygieniczne pierniki ckliwych filantropijnych sentymentów na Lwów i okolicę. Apoteozą reportera zainaugurowała swój wjazd do dziennikarstwa. Gloryfikacyą plebiscytu zdobywa popularność i łowi prenumeratorów. Zamianowała się orędowniczką pretensyonalnej napuszystej, sarceyowej przeciętności. Osławione jej okno, ulegające ciekawej metamorfozie oka, przez które się patrzy, ucha, przez które się słyszy i dziury, którą wydmuchuje się cudzą trywialność w braku własnych idei, stało się witryną sklepową, zawieszoną pstrymi lampionami tanich uczuć dorastających, naiwnych

podlotków. Te maki, chabry i chryzantemy, te ach i och! w co drugim ustępie siane, należy trzebić i tępić.

Poczuwamy się tedy po długim namyśle i należytej rozwadze do obowiązku podjęcia walki z p. Zapolską.

Aby zaś jej dać lekki przedsmak i aromat tych przyszłych ewentualnych harców, z których my niewątpliwie wyjdziemy cali i nieuszkodzeni, uważamy za stosowne już u wstępu odsłonić pozycye, z których spodziewać się może natarcia.

Otóż pro primo: jesteśmy zdania, że otrzaskanie się z kulisami, kurtyną i budką suflerską, że zręczność w wyszukiwaniu szpar w płótnie dekoracyjnem nie jest jeszcze wniknięciem w istotę i mistyczne piękno poezyi dramatycznej; że owszem sądząc z praktyki melodramatopisarskiej p. Gabryeli, nie ma ona ani szerokiego, ani głębokiego wyobrażenia o zadaniach, celach i środkach sceny;

pro secundo: sądzimy, że zmanierowany styl cioci Telimeny, pachnący piżmem, lawendą i opoponaxem, w jakim p. Zapolska koncypuje fałszywe, egzaltowane, nastrojami zjeżone swe artykuły, jest nie tylko syropowo wstrętny, ale wprost psuje zdrowe jeszcze instynkta estetyczne publiczności. Dlatego należy p. Zapolskiej od czasu do czasu aplikować stosowne antidotum na jej wydoskonaloną w ostatnim czasie płaczliwość dewotek. Pani Zapolska wprowadzając się w lwowskie dziennikarstwo, wniosła ze sobą w posagu kilkanaście nieprzemakalnych worów łez. Nasiąkła wilgocią, jak gąbka i fontanizuje nią przy lada sposobności ku uciesze znawców, a mdłemu rozczuleniu całego Babińca i pantoflarzy. Prosząc niniejszem uniżenie p. Gabryelę w jej własnym interesie, jak też w imieniu dobra publicznego o możliwe trzymanie w ryzach swego rozmiękczonego niobizmu, kreślimy się zresztą z całym szacunkiem, z płci i —„lachons le mot“ — z wieku jej należnym.

Bronisław Twardowski.

Kilka słów publicznego protestu.

Z powodu świeżo wydanych „Pamiętników“ Bobrowskiego.

(Dokończenie).

Autor „Pamiętników“ zobowiązał w swoim testamencie kilka osób, których majątkiem się opiekował, gdy byli nieletniemi, do wspólnego odczytania w 5 lat po jego śmierci rękopisu pamiętnika i zajęcia się wydrukowaniem togoż.

Panowie ci, odczytawszy rękopis przy w spółudziale p. Włodzimierza Spasowicza (który napisał przedmowę do „Pamiętnika“), kolegi uniwersyteckiego Bobrowskiego, zdecydowali się na przyłożenie ręki do krzywdy ludzi, nie mając na to żadnych pozytywnych dowodów Czuli jednak winę swoją nie do darowania i potrzebę jakiegoś wobec opinii tłomaczenia się, gdyż „Kilka słów od wydawców“, przez nich napisanych, podpisem ich jednak nie opatrzonych, opiewa, że samo spełnienie woli testatora daje im prawo całą odpowiedzialność za charakterystykę osób i faktów opisywanych złożyć tylko na nieboszczyka, którego prochy martwe żadnego objaśnienia, lub dowodu nikomu już dać nie mogą! Bobrowski uważał słusznie, że daleko bezkarniej jest rzucać oszczerstwa z pod ziemi, niż chociażby zza płotu, ale pogląd pp. wydawców jest co najmniej niezrozumiały; wzięli bowiem na siebie moralną odpowiedzialność, której doniosłości widocznie nie chcieli zrozumieć, a sumienie obciążyli faktem krzywdy ludzkiej, w brudnych paszkwilach zawartej.

Zarozumiałość bezgraniczna, drapowanie się ciągłe w togę dyktatora i wiara głęboka w jakieś posłannictwo, z którego sam autor nie zdawał sobie zdawał sprawy, wieje z każdej prawie stronicy tego „Pamiętnika“.

Krytykowanie wszelkich idei, niezgadzających się z jego poglądami, oraz niezniszczona chęć przodowania *urbi et orbi*, rozlały żółć w tem, co mówił i napisał.

Nie chcę tu wyliczać rozmaitych brudnych, a zapomnianych od kilkudziesięciu lat historyj i bredni o niektórych rodzinach, a które wówczas starały się publicznie przed sądem opinii oczyszczać z zarzutów, ich uczciwości czynionych, i to zrobiły, co zresztą sam autor przyznaje, synowie i wnukowie; nie mogę powtarzać, a nawet wskazywać stronic, gdzie on w sposób wstrętny i cyniczny przypomina kursujące między plotkarzami i wędrownymi pieczeniarzami stare anegdoty, wierszyki i płaskie koncepty. Pytam tylko, do czego to było potrzebne, jaki mogło mieć cel, dlaczego Bobrowski bez żadnych dowodów, gdyż tych, czytając „Pamiętnik“, prawie się nie spotyka, starał się zedrzeć w oczach dzieci i wnuków cześć i szacunek, jaki słusznie mieli, i czem tylko szczycić się mogą, dla pamięci naszych kobiet? Z prawdziwą bowiem lubością autor najskrzętniej wyszukuje gdzie tylko o której cokolwiek niekorzystnego i uwłaczającego jej czci potrafi zasłyszeć. Człowiek, któryby, jak sam pisze o sobie, kochał ludzi, jeśliby nosił w sercu nie jad jakiś gryzący, ale odrobinę szlachetnego uczucia, prędzejby starał się goić rany, jeżeli one były w społeczeństwie, niż bez celu żadnego, a poprostu z niepojętą drapieżnością rozgrzebywać, drażnić i odnawiać. Tembardziej, że wiele bardzo nieprawdy, jak zresztą we wszystkich plotkach o zakulisowem życiu ludzi, i tu widnieje.

Wartości historycznej, jako przyczynek do jakichkolwiek dziejów, „Pamietnik“ nie posiada; jako chęć malowania zbyt jaskrawemi farbami moralnego upadku społeczeństwa — niewłaściwe, gdyż, przeciwnie, to się już była rozpoczęła epoka pracy organicznej i umysłowej; jako charakterystyka wierna i sprawiedliwa wybitnych współczesnych ludzi, nic niewarta, gdyż przeważnie stron prywatnych, zgoła cichych i zamkniętych w ciasnych kółkach, dotyczą te opisy, plotki, wiersze, epizody i przejścia domowe, rodzinne. Styl ciężki, chropowaty, na każdej prawie stronicy dopiski, nafaszerowane bajkami, powiastkami i złośliwymi konceptami; wszędzie zaś autor wmawia sam w siebie wielkość, rozum, cnoty przez innych niedoścignione i wyżyny, na które sam jeden wzniość się potrafił na skrzydłach omamień i zaślepienia.

Skalpel chirurga w chorem ciele, a reformatora w chorem społeczeństwie, może się zagłębiać tylko w szlachetnym celu fizycznego, lub duchowego uzdrowienia.

Wydawnictwo, podobne „Pamiętnikom“ powinno być wypleniane jaknajsurowiej.

Machnówka (gub. kijowska).

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Mocno melodyjną, a jeszcze mocniej znaną „Traviatę“ Verdiego usłyszeliśmy aż w podwójnej obsadzie. Pierwsza (Korolewicz, Myszuga i Grąbczewski) była o tyle ciekawą, że p. Korolewicz, mimo ciągłych braków w biegnikach, może tę partyę liczyć do swych najlepszych. Odzyskany cudem temperament i piękny wygląd były tu czynnikiem decydującym. P. Myszuga natomiast, jako Alfred, był więcej niż niemożliwy. Ciągłe dławienie wysokich tonów (w ostatnim akcie doprowadzone do niemożliwości) psuło nie tylko wrażenie całości, ale i zasadnicze prawa harmonii. Minęły piękne dni... P Grąbczewski z niewielkiej i banalnej swej partyi zrobił prawdziwe cacko; szkoda tylko, że wprowadził znów włoszczyznę na naszą scenę.

Druga obsada (Koldowska, Drzewiecki) dla braku reklamy nie wzbudziła większego zainteresowania się, choć była bardzo ciekawą. P. Koldowska, mimo chwilowej niedyspozycyi głosowej, zachwycała nas grą przepiękną i szlachetną, olbrzymim ogniem i temperamentem, z jakim odtwarza daną postać na scenie. Każdy ruch, każda mina uzupełniały się wzajemnie, stwarzając świetny i skończony typ. Piękność p. Koldowskiej, biegła koloratura i dźwięczne mezza voce, a przedewszystkiem ogromna wrażliwość i zapał artystyczny, który udziela się także słuchaczowi w wielkiej mierze, były tu czynnikiem decydującym. Pragnęlibyśmy ujrzeć p. Koldowską jeszcze i w innych partyach, chcąc ją wszechstronnie ocenić.

P. Drzewiecki mógł Alfreda odśpiewać jeszcze lepiej, jak słyszeliśmy, gdyby niepewność i ciągłe oglądanie się na budkę suflera nie krępowały go ustawicznie (duet z Violettą).

Chóry i orkiestra w której spoczywa bezsprzecznie rozwój naszej opery, pod dzielną batutą p. Czelańskiego, sprawiły się znakomicie. Przypominamy tylko świetnie odegraną uwerturę, tempo w introdukcyi z trzeciego aktu i w seksteche, gdzie fraza w instrumentach dętych stosownie wzmocniona, utrzymywała olbrzymi ensambl chóru i solistów w nieskazitelnem tempie.

Solo sprzypcowe w ostatnim akcie odegrał pięknie, subtelnie i z wielkiem uczuciem p. Lhocky.

Dla braku miejsca odkładamy sprawozdanie teatralne (Grabowskiego: „Rodzeństwo) do numeru następnego.

NADESŁANE.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.